



Mirosław Derecki

MIĘDZY SZTUKĄ A HISTORIĄ

ROZMOWA Z HENRYKIEM GAWARECKIM

- Jest pan doskonałym znawcą historii Lublina, swojego rodzaju instytucją w tej dziedzinie. Przez wiele lat pełnił pan funkcję wojewódzkiego konserwatora zabytków, był pan także m.in. zastępcą dyrektora do spraw naukowo-konserwatorskich oddziału PKZ w Lublinie. Znany bibliofil, autor licznych publikacji i opracowań historycznych, świetny gawędziarz radiowy, szerokiemu gronu czytelników jest pan przecież znany przede wszystkim jako autor książki „O dawnym Lublinie”, która doczekała się już drugiego wydania. Skąd to zainteresowanie historią Lublina - i zresztą nie tylko Lublina – u człowieka, który studiował nauki ścisłe, posiada dyplom inżyniera? Na ile rzutował na pańskie zainteresowania fakt, iż rodzina Gawareckich od pokoleń związana jest z Lublinem, z jego życiem kulturalnym?

- No, trochę pan przesadził z tą obecnością „od pokoleń” naszej rodziny na gruncie lubelskim. De facto tkwimy tutaj dopiero od niespełna siedemdziesięciu lat, a nasze pojawienie się w Lublinie było właściwie dziełem przypadku. Rodzina mojego ojca wywodzi się z ziemi wyszogrodzkiej, województwa płockiego, rodzina matki z Grodna.

- To jak trafili Gawareccy do miasta nad Bystrzycą?

- Prosto... z miasta nad Wołgą, miasta, które niegdyś nazywało się Twer, a dzisiaj – Kalinin. Otóż trzeba panu wiedzieć, że mój ojciec, Feliks Gawarecki, po ukończeniu instytutu Mierniczego w Moskwie w 1906 roku i otrzymaniu dyplomu inżyniera geodety musiał – jako stypendysta – odpracować owe stypendium, co było związane z wyjazdem w głąb Rosji, gdzie potrzebowano fachowców. Wraz z żoną, absolwentką gimnazjum w Grodnie, Kazimierą z Trojanowskich, a moją matką (później skończyła studia historyczne), osiedlili się w Twerze, mieście gubernialnym. I tam też ja przyszedłem na świat 15 stycznia 1912 r. Ojciec piastował odpowiedzialne stanowisko – pomocnika geodety gubernialnego;; tak to brzmi w dokładnym przekładzie na język polski. Mieszkaliśmy w obszernym drewnianym domu przy ulicy Siemionowskiej, zajmując całe pierwsze piętro. Twer był zabudowany poza ścisłym śródmieściem, głównie domami drewnianymi. Kanalizacja nie istniała. Pamiętam

dobrze z dzieciństwa, że podczas ulewy woda szorowała groźnym. Huczącym strumieniem przez całą szerokość naszej ulicy... W czasie II wojny światowej tamten stary Twer, późniejszy Kalinin został całkowicie zniszczony, i teraz, po odbudowaniu, jest to już zupełnie inne miasto.

- Rodzice tęsknili za Polską?

- Oczywiście. Ale nie czuli się od polskości odizolowani. W Twerze mieszkało bardzo dużo Polaków: kwitło życie towarzyskie, działalność kulturalno-społeczna. Nawiasem mówiąc, w głębi Rosji – inaczej niż w kongresówce - Polakom działo się dobrze, byli szanowani i doceniani, jako pracownicy, szybko robili kariery. Był w Twerze nawet kościół katolicki, do którego chodziliśmy na nabożeństwa; były tam zresztą - obok licznych cerkwi – także mahometański meczet i protestancka kircha.

- W pewnym momencie przyszła Rewolucja Październikowa, narodziła się Polska niepodległa; Polacy zaczęli tłumnie wracać z Rosji do kraju. Rodzina Gwareckich także?

- Tak. Kiedy w roku 1921 otworzyła się już możliwość powrotu do Polski, ojciec zdecydował się wyruszyć na zachód, nad Wisłę. Ale dokąd jechać? Gdzie się osiedlić? Początkowo mieliśmy kierować się do Pomiechówka pod Warszawą, gdzie brat ojca, ksiądz Teofil Gwarecki, był proboszczem. Ale podróż repatrianckim eszelonem ciągnęła się nieprawdopodobnie długo. I w końcu do Pomiechówka nie dotarliśmy, bo na którymś z postojów otrzymaliśmy wiadomość, że ksiądz Teofil zmarł niedawno na zapalenie płuc. Na szczęście ojciec miał jeszcze jednego brata, młodszego od siebie, mierniczego Jana Gawareckiego, który od kilku już lat mieszkał w Lublinie, ożeniwszy się z tutejszą obywatelką, Stanisławą Miller. Tak więc pewnego dnia zjawiliśmy się całą czwórką - ojciec, matka, ja i starsza ode mnie o pięć lat siostra Irena – niespodziewanie dla stryja i.. dla nas samych w Lublinie. Ojciec szybko znalazł pracę w swoim zawodzie...

-Wynajął mieszkanie...

- O , nie, proszę pana! Wówczas w 1921 r., z mieszkaniami w Lublinie było równie trudno jak dzisiaj. Zainstalowaliśmy się prowizorycznie u stryja Jana. Posiadał on lokum w tak zwanym domu Semadeniego, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Staszica Dla mnie jako chłopca był to punkt niezwykle interesujący: na parterze budynku mieściła się słynna cukiernia Semadeniego, na pierwszym piętrze były bilardy... Panował tam ruch, przychodziło mnóstwo ludzi, było się czemu przyglądać. Nawiasem mówiąc, właścicielem cukierni był już wówczas nie Semadeni, ale Ignacy Domański.

- Oho, zaczynamy wracać w atmosferę pańskiej książki „O dawnym Lublinie”!

- Hm, do książki i do moich późniejszych zainteresowań i lubelskich fascynacji było jeszcze bardzo, bardzo daleko. Ale coś w tym, co pan mówi, na pewno jest; znalazłem się oto

jako dziewięcioletni chłopiec w samym centrum Lublina, w rejonie, gdzie koncentrowała się spora część jego życia handlowego, rozrywkowego, towarzyskiego; obserwowałem z ciekawością to, co się wokół działo, i zapamiętywałem.

- Poznawał pan także ludzi, którzy wyróżnili się w ówczesnym życiu Lublina?

- Bez wątplenia. Ale ze względu na mój wiek odbywało się to w sposób raczej przypadkowy. Choćby przy zmianie mieszkania.

- ?

- Na przykład po wyprowadzeniu się od stryja Jana Gawareckiego za mieszkaliśmy w pokoju wchodzącym w skład obszernego mieszkania, należącego do znanej lubelskiej lekarki, dr Jadwigi Bobrowskiej. Mieściło się ono na pierwszym piętrze kamienicy przy ul. Narutowicza pod numerem 19. Starszy sporo ode mnie syn pani Jadwigi, Czesław, to późniejszy wybitny polski ekonomista, profesor Czesław Bobrowski; w młodszych latach także przecież literat przyjaciel lubelskich „młodych gniewnych” - Konrada Bielskiego, Wacława Gralewskiego, Józefa Czechowicza - i współtowarzysz ich twórczych i wydawniczych poczynań. Następnym mieszkaniem, już samodzielnym, był lokal w domu przy ul. 3-go Maja. Tam z kolei to my mieliśmy sublokatora, niejakiego pana Ignacego Jaworowskiego. Był on rodzonym bratem dra Aleksandra Jaworowskiego, człowieka, który tak wielkie położył zasługi dla lubelskiej Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego...

- Tej właśnie biblioteki, z którą związane było następnie przez kilkadziesiąt lat życie pańskiej rodziny, a ściślej: pań Gawareckich.

- I jest z nią związane nadal. Poprzez pracę tam mojej córki. Ale Biblioteka im. Łopacińskiego to dla mojej rodziny dopiero rok 1924, gdy zaczęła tam pracować moja matka, Kazimiera Gawarecka. Zaś dla mnie samego znaczącą datą jest rok 1923. Zaczęłem wówczas uczęszczać do gimnazjum humanistycznego im. Stanisława Staszica. Przez siedem lat siedziałem w jednej ławce ze Stefanem Ziemińskim, ale nie - lubelskim dziennikarzem o tym samym imieniu i nazwisku, tylko późniejszym znanym gleboznawcą, profesorem i rektorem Wyższej Szkoły Rolniczej. Z tamtego okresu nauki wyniosłem jak najlepsze wspomnienia. A to głównie dzięki wspaniałemu zespołowi nauczycielskiemu, ludziom, którzy potrafili nie tylko dobrze nas uczyć, ale także rozbudzać nasze zainteresowania.

- A co pana najbardziej w szkole interesowało, historia?

- Zdziwi się pan: literatura francuska! Mieliśmy doskonałego nauczyciela języka francuskiego. Dr Ludwik Zengteler ( w swoich dawnych krakowskich czasach zagorzały wielbiciel i stały bywalec Zielonego Balonika, o czym dowiedziałem się dopiero po wielu latach), nauczył mnie miłości do Verlaine'a i Villona; potrafiłem recytować ich poezję całymi stronicami... Rozbudzał w nas także ciekawość Francji, Paryża. Na przykład lubiłem bardzo

taką zabawę, kiedy to dr Zengteler przynosił do klasy wielki plan Paryża, wieszał go na tablicy, a potem wyrywał kogoś z uczniów, kazał mu stawać plecami do mapy i mówić z pamięci, jak należy iść na przykład z Champs Elysees na Plac Republiki. A tymczasem klasa śledziła na planie czy „delikwent” się nie myli. W tamtych też latach stałem się codziennym gościem Biblioteki im. Łopacińskiego. Nie dlatego akurat, że pracowała tam moja matka. Ale stąd, że mogłem korzystać do woli (oczywiście obecność matki ułatwiała mi dostęp do księgozbioru) z bogatych bibliotecznych zasobów, z wielu ciekawych i mało dostępnych pozycji z literatury francuskiej w oryginale i w tłumaczeniach... Tak pociągała mnie romanistyka. Ale kiedy doszedłem do matury, był to rok 1930, ojciec, widząc, że nie stronię także od matematyki, geometrii i w ogóle nauk ścisłych, przekonał mnie, że powinienem zapisać się na Wydział Inżynierii Politechniki Warszawskiej. Studia inżynierskie należały niejako do tradycji rodzinnej

- Wciąż nie widzę w pańskiej opowieści zainteresowań historią, architekturą, sztuką...

- Zaraz będą. Ale najpierw był Wydział Inżynierii Wodnej. Ze specjalnością budownictwo wodne; to znaczy kanały, śluzy itp. Po czterech latach studiowania udało mi się zrobić tzw. półdyplom. Nie bez powodu wspominałem o tych aż czterech latach... Otóż z czasem moje zainteresowania inżynierią zaczęły oscylować ku architekturze. Wybrawszy się z wycieczką architektów w podróż do Włoch oraz na Węgry i do Jugosławii, nabrałem zainteresowania historią sztuki. Zacząłem uczęszczać na wykłady z architektury i historii sztuki... A poza tym był inny powód, że moje studia przedłużały się. Poznałem jeszcze jedną „dziedzinę sztuki”, której dotąd jakoś nie uprawiałem: taniec towarzyski. W karnawale frak i smoking był dla mnie teraz strojami, które „nie zeznawały spokoju”. Aż się ojciec zaczął poważnie niepokoić, co to będzie ze studiami. No, a jeszcze pojawiła się w moim życiu pewna młoda panna...

- Takie entuzjastka tańca?

- Oczywiście. Ale zbliżyły nas przede wszystkim lekcje języka włoskiego, na które uczęszczaliśmy, będąc oboje członkami Istituto Culturale di Varsavia. Moja późniejsza żona, Maria Pożaryska, córka dziekana Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, prof. Mieczysława Pożarskiego, była historykiem, a także absolwentką Wyższej Szkoły Nauk Politycznych; robiła doktorat z jednego z konkordatów włosko-polskich, stąd jej szczególne zainteresowania językiem włoskim i Italią, w której zresztą przebywała przez dwa lata, zbierając potrzebne do swoich studiów materiały. W roku 1938 pobraliśmy się. W 1939 r. przysłała na świat nasza córka, Ewa. Ewa skończyła studia z biologii na UMCS-ie. Ale – jako trzecie już pokolenie po mojej matce i żonie 0 związała się z Biblioteką im. Łopacińskiego. Matka, Kazimiera Gawarecka pracowała w bibliotece od roku 1924 po lata sześćdziesiąte (

oczywiście, z przerwą okupacyjną). Żona, Maria Gawarecka z Pożaryskich – od 1951 roku do 1977 r. A Ewa Gawarecka pracuje od r. 1967; już dziewiętnaście lat...

- W sumie rodzina Gwareckich związana jest z Biblioteką im. Hieronima Łopacińskiego sześćdziesiąt dwa lata. Grubo ponad pół wieku! A co z panem? Po okupacji, podobnie jak ojciec, sprowadził pan rodzinę, to znaczy żonę i córkę, do Lublina.

- Właśnie. Lata okupacji to ciągle zmiany jednej pracy na drugą, stała niepewność. Konkretnie zajęcie, rozpoczynające całą nową epokę w moim życiu, to dopiero praca (od 1 marca 1945 r.) w Inspekcji Budowlanej Zarządu Miejskiego w Lublinie. Dużo zawdzięczam z tamtego okresu ówczesnemu mojemu szefowi, architektowi Ignacemu Kędzierskiemu, który mnie wprowadzał w zagadnienia, problemy i tajniki, leżącego wówczas, w gruzach Lublina. I robił to tak dobrze, że gdy w 1949 r. otworzyła się możliwość pracy na stanowisku wojewódzkiego, konserwatora zabytków, zgłosiłem swoją kandydaturę w Ministerstwie Kultury i Sztuki. I moje podanie zostało przyjęte. Przepracowałem na owym stanowisku kilkanaście lat..

- Jako jeden z najdłużej piastujących tę funkcję w Lublinie...

- No i konserwator pracujący w szczególnych - przynajmniej w pierwszym okresie - pookupacyjnych warunkach. Kiedy objąłem swoją funkcję, archiwum konserwatorskie było skromne i rozproszone. Stąd konieczność zajęcia się spisem istniejących zabytków i uzupełnieniami, uwzględniającymi nowe o nich wiadomości. Sąd także wynikała potrzeba podjęcia przeze mnie bardzo obszernych, specjalistycznych studiów oraz pogłębienia znajomości szeroko pojętej literatury przedmiotu.

- Z tamtych studiów zrodziły się podstawy do późniejszych publikacji i do książki „O dawnym Lublinie”. Ale chciałbym jeszcze przypomnieć, że przed objęciem urzędu konserwatorskiego, od 1947 r., był pan wykładowcą historii sztuki na KUL w zakresie ochrony zabytków, muzealnictwa i rysunku pomiarowego; aż po lata pięćdziesiąte.

- Tak. Tylko, że później nie bardzo mogłem te dwa zajęcia pogodzić. To znaczy, ja mogłem, ale...

- Rozumiem. Nic tu dodać nic ująć. A co do urzędu konserwatora wojewódzkiego, tu w pewnym momencie odszedł pan z tego stanowiska, i – o ile mi wiadomo - został pan do tego po prostu zmuszony.

- Nie podobało się wtedy niektórym ludziom w województwie że zbyt wiele środków - jak uważali – przeznaczam na odbudowę pałaców, dworów i kościołów. A przecież te obiekty również zasługiwały – ze względu na stan, w jakim się znajdowały – na szczególną troskę. I co więcej, te przeznaczane przeze mnie środki stanowiły tylko niewielką część wydatków z sum, jakimi dysponowałem! Kiedy trafiła się propozycja przejścia na stanowisko kierownika

pracowni Wojewódzkiego Biura Projektów Budownictwa Wiejskiego w Lublinie, chętnie z niej skorzystałem. Zdawałem sobie sprawę z faktu, że na tym stanowisku nie stracę kontaktu z obiektami zabytkowymi. Potem była praca projektanta w lubelskim „Miastoprojekcie” a ostatnia – w Pracowni Konserwacji Zabytków, jako zastępca dyrektora do spraw naukowo-konserwatorskich. Aż do przejścia na emeryturę w 1978 r.

- Jest pan bibliofilem, obecnie prezesem Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki, jest pan pisarzem, historykiem, inżynierem, konserwatorem zabytków...

- Co ja do tego jeszcze mogę dodać? Tak właśnie się moje życie ułożyło. Przez całe życie zawodowe znajdowałem się „w orbicie” zabytków. W miarę możliwości dbałem o nie, zabezpieczałem, ratowałem przed zagładą. A także pisałem o nich, mówiłem w radiu w pogadankach „Opowieści o zabytkach”, przede wszystkim o zabytkach Lubelszczyzny. Bibliografia moich prac i publikacji sięga ponad 200 pozycji. Żeby zdobyć wiadomości, którymi się później dzieliłem z czytelnikami, czy ze słuchaczami, trzeba było wielu poszukiwań, wiele czasu. Zdarzało mi się otwierać drzwi już otwarte, ale także ustalać fakty, jakie nie były jeszcze dotąd znane. Dawało mi to dużo satysfakcji osobistej. I także przyczyniło się do powstania obszernego księgozbioru Lublinianów. Znajdują się w nim takie pozycje, jakich nie spotka się nawet w najbogatszej z naszych bibliotek regionalnych, nieocenionej Bibliotece im. Łopacińskiego.

- Co pana zdaniem jest sprawą najważniejszą w zawodzie oraz na stanowisku konserwatora zabytków? I także w pracy historyka?

- Myślę, że chyba rzeczowość, chłodna ocena faktów i sytuacji oraz autentyczna fascynacja sztuką i historią.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 2, s. 3.